

Odległe wspomnienia*

Distant memories

Andrzej Żmudzki

dr med. specjalista psychiatra i neurolog, ppłk WP w st. spocz., Falls Church, Virginia, USA

Streszczenie. Obserwacja uczestnicząca środowiska społecznego zawodowego oficera, psychiatry wojskowego w powojennej Polsce. Obrazy niezgodnych ze sobą postaw i zachowań wynikających z antagonizmu między zakorzenioną kulturą chrześcijańską a nowymi normami, wartościami i wzorami narzucanymi przez komunistyczny system polityczny.

Słowa kluczowe: psychiatria wojskowa w Polsce po II wojnie światowej, orzecznictwo sądowo-psychiatryczne w Wojsku Polskim po II wojnie światowej

Abstract. Participant observation of military social environment in Poland after WWII by a military psychiatrist. Images of incongruent behaviors and attitudes generated by antagonism between ingrained Christian culture and new norms, values and patterns imposed by communist political system.

Key words: Polish military psychiatry after WWII, Polish military case law of forensic psychiatry after WWII

Nadesłano: 18.12.2020. Przyjęto do druku: 22.12.2020

Nie zgłoszono sprzeczności interesów.

Lek. Wojsk., 2021; 99 (1): 36–39

Copyright by Wojskowy Instytut Medyczny

Adres do korespondencji

dr med. Andrzej Żmudzki

318 Pennsylvania Avenue, Falls Church VA 22046, USA

e-mail: azmudzki@gmail.com

Ktoś powiedział, że szczęście to coś, co się tylko czasem ludziom zdarza na skrzyżowaniu dobrego przygotowania i sprzyjających okoliczności. Rodzice przygotowali mnie dobrze do życia, sprzyjające okoliczności często mi się zdarzały. Złe było to, że wychowywałem się i żyłem przez wiele lat w kraju, w którym jedni z nas wprowadzali „sprawiedliwość społeczną” kłamstwem, podstępem i przemocą, a inni zbierali owoce tej sprawiedliwości: stałe poczucie zastraszenia, ograniczoną możliwość decydowania o swoim losie lub zmianie miejsca pobytu, niemożność mówienia prawdy i szczerych rozmów z ziomkami, zwłaszcza tymi, którzy byli innej myśli. Wielu przyplącało ten kataklizm historyczny życiem – złamanym lub odebrany. Było mi lżej niż innym, gdyż żyłem w „środowisku chronionym” – byłem lekarzem, pracowałem w wojsku, mieszkalem w stolicy kraju.

Mój ojciec był niewierzący, ale mnie ochrzcił i dbał, żebym chodził na religię. Uczył mnie, że wszystko jest „względne”: „W chrześcijaństwie najważniejszy jest Bóg,

ale Bóg to niewiele więcej niż tylko Święty Mikołaj dla dorosłych. Nie trać czasu na zastanawianie się nad względnością istnienia lub nieistnienia Boga, lepiej pamiętaj, że przyszło ci żyć w kraju o kulturze chrześcijańskiej, więc musisz się o tej kulturze wszystkiego dobrze nauczyć**”. Mówił też, że „życie jest trudne, ciągle trzeba dokonywać wyborów i podejmować decyzje”. Matka mówiła: „Tatuś lubi filozofować. Decyzje to w gruncie rzeczy nic takiego, zawsze się po prostu wybiera rzeczy dobre, pożyteczne i osiągalne, a spośród nich te, na których nam zależy. Nasze życie to głównie stałe wykonywanie zadań, najważniejsze jest, żeby je wykonywać dobrze: robić wszystko od razu, starannie, zawsze do końca. I zawsze sprzątnąć po sobie. Życie nie jest trudne, jest męczące”. Mówiła też, żebym nigdy nie kłamał we własnej obronie oraz żebym zawsze był dobry i pomocny dla innych, nigdy nikomu nie szkodził, dokuczał lub robił na złość. Nierówność społeczna, nędza i ciemnota były dla moich rodziców częścią zawsze istniejącej i niedającej się zmienić rzeczywistości, niedostrzeganej lub ignorowanej.

* Jak się okazało, jestem czymś w rodzaju eksponatu. Profesor Ilnicki, lekarz i historyk medycyny, mój przyjaciel, w czasie odkurzania mnie spostrzegł, że jeszcze oddycham, i poprosił o spisanie kilku wspomnień o leczeniu wojskowym w czasach komunizmu oraz o wpływie wojska i komunizmu na mnie samego.

** Słowa, które „cytuje”, w wielu miejscach nie są dokładnym powtórzeniem tego, co ktoś do mnie powiedział; starałem się jedynie, żeby nie odbiegały znaczeniem i tonem od słów, które usłyszałem.

Od dzieciństwa dużo czytałem, poszedłem do humanistycznego gimnazjum, gdzie zadawane mi lektury (nie było jeszcze wtedy listy obowiązkowych i zabronionych książek) uczyły mnie z jakiegoś powodu bardziej na postęp i sprawiedliwość niż na patriotyzm. Równocześnie łatwo chłonałem nauki naszych nowych wieszczów, wydawać się mogło, że były one specjalnie do mnie adresowane. Zostałem aktywistą szkolnej organizacji politycznej. Po kilku latach, jeszcze na studiach, napisałem o tym: „Nie wierzę w Boga, ale mam do niego szacunek jak do człowieka. Kiedy myślę o nim, wspominam gimnazjalnego katechetę w postrzępionej sutannie, który wykladał nam jakąś swoją prostą i szlachetną religię. Kiedy zerwałem w klasie krzyż ze ściany za katedrą i wsadziłem w szparę za kafłowym piecem, cała szkoła się rozhuczała. On powiedział tylko: „Jędrusiu, Jędrusiu. Jakiś ty głupi, koszmarnie głupi. I co z ciebie wyrośnięć”.

Po następnych kilku latach, kiedy pracowałem już jako lekarz, któregoś miesiąca oddałem sekretarzowi miejscowej „komórki partyjnej” moje podanie o uznanie mnie za członka partii. Włożył ten papier do teczki i wyszedł. Po drodze do miejsca, do którego szedł, złamał rękę lub nogę i zgubił teczkę. O moim podaniu nigdy już nie było mowy. Być może ksiądz Kafuszko mi to od swojego Pana Boga wymodlił.

Pierwsze dwa lata pracy spędziłem w krakowskiej klinice psychiatrycznej. Od początku rozpoznawanie objawów zaburzeń psychicznych było dla mnie fascynujące. Po godzinie pierwszej rozmowy z moją pierwszą pacjentką o jej dwóch nieudanych małżeństwach poszedłem do adiunkta i orzekłem, że moim zdaniem ma ona złego męża, ale jest zdrowa psychicznie. On powiedział: „To ciekawe, najlepiej żeby pan spędził z nią jeszcze jedną godzinę”. Wróciłem i zacząłem dalszą rozmowę od przypomnienia, że mówiliśmy o jej drugim mężu. Odpowiedziała, że być może niejasno to przedstawiła, miała tylko jednego męża, ten drugi człowiek nie był jej prawdziwym mężem, był podstawiony przez bezpiekę.

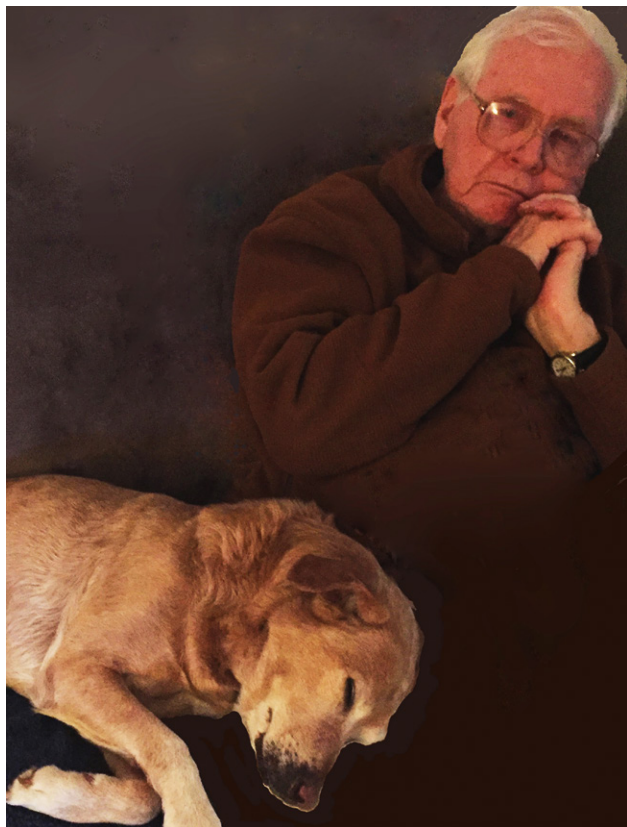
Jednym z moich zajęć w klinice było chodzenie do sądu z Antonim Kępińskim lub Wandą Póttawską, czeładnikowałem też w rzemiośle orzeczniczym u Władysława Stryjeńskiego. Któreś z nich ostrzegło mnie kiedyś, żebym przy orzekaniu uważnie sobie patrzył na ręce, bo orzecznictwo psychiatryczne to wtrącanie się do nie swoich losów. Mój staż w klinice zakończył się zdaniem egzaminu specjalistycznego z psychiatrii.

Po tych dwóch latach wcielony zostałem do wojska, zgodnie z ustawą o przymusowej dwuletniej służbie wojskowej absolwentów akademii medycznych. (W moim przypadku zostało to czasowo odroczone, bo udało mi się wcześniej otrzymać stypendium specjalizacyjne w klinice: moja praca tam uznana została, w wyniku czyjejś całkowicie arbitralnej decyzji, za „społecznie niezbędną”, co zwolniło mnie na jakiś czas z tego obowiązku.) Początkowo przydzielony zostałem do szpitala WSW

w Wrocławiu, gdzie powierzono mi pracę w przychodni neurologicznej oraz zadanie orzekania o „przydatności” kandydatów do służby w organach bezpieczeństwa państwowego. Po paru miesiącach przeniesiony zostałem do oddziału neurologicznego Centralnego Szpitala Wojskowego w Warszawie i niebawem znowu pisałem orzeczenia sądowno-psychiatryczne pod okiem mojego ordynatora Stefana Bogusławskiego, którego uważałem za świętego w mundurze. Chodziliśmy razem do sądu lub do więzienia, do którego przesyłano szeregowych żołnierzy niepełnosprawnych intelektualnie, z zaburzeniami osobowości, objawami zaburzeń psychicznych lub podejrzeniem symulowania takich zaburzeń. Byli to żołnierze oskarżeni lub skazani za „dezercję” lub „samowolne oddalenie się” z wojska – środowiska, w którym znaleźli się pod przymusem i do którego nie mieli szans się przystosować. Losami takich nieszczęśników, skazywanych na wiele lat więzienia, zajmowałem się później w mojej pracy doktorskiej. Pracowałem już wtedy w Wojskowym Instytucie Kształcenia Podyplomowego, w przychodni psychiatrycznej, będącej częścią Kliniki Neurologicznej kierowanej przez docenta Teofana Domżała. Orzeczenia wojskowo-lekarskie i sądowno-psychiatryczne najczęściej wydawaliśmy w przychodni, ale nadal zdarzało mi się chodzić do sądu z którąś z dwóch zawsze mi drogich osób, psychiatrą Stanisławem Ilniczkiem i psycholożką Agnieszką Foss.

Któregoś dnia w początkowych latach mojej pracy jako lekarz, kiedy zastanawiałem się nad rozwiązaniem praktycznych problemów życia jednego z moich pacjentów, sformułował mi się w głowie wniosek, nie całkiem zgodny z „zasadami lekarskimi” i obowiązującymi mnie przepisami, że reguła *primum non nocere* odnosi się nie tylko do samego pacjenta, lecz także do jego rodziny. Że w niektórych sytuacjach powinienem sam podejmować decyzje, zamiast pozostawiać je rodzinie i obciążać jej członków poczuciem odpowiedzialności za następstwa takich decyzji lub narażać ich na związane z takimi decyzjami fizyczne i materialne ciężary. Że, na przykład, zamiast naciskać na rodzinę, aby zabrała swojego chorego do domu, lepiej przetrzymywać umierającego pacjenta w szpitalu albo samemu załatwić przyjęcie upośledzonego umysłowo dziecka z ciężkim fizycznym kalectwem do instytucji opiekuńczej.

Moja etycznie niejasna działalność stopniowo się rozszerzała. Pozwoliła mi załatwić pacjentce, życiowo nieporadnej i bez grosza przy duszy, darmowe przerwanie ciąży w nielegalnie funkcjonującym prywatnym gabinecie lekarskim; doradzić, jak znaleźć ostateczne rozwiązanie, komuś do cna udreżonemu przewlekłą, postępującą, nieuleczalną chorobą; wydać komuś fałszywe świadectwo lekarskie, by ochronić go przed dalszym politycznym prześladowaniem lub obronić kogoś innego przed bezsensowną, ciężką szkodą wynikającą z biurokratycznej wszechwładzy i warcholstwa. Podsumowania



osobistej odpowiedzialności za własne postępowanie dokonałem dopiero znacznie później: gdzieś w połowie czterdziestki ustaliłem ostatecznie z samym sobą, że jeżeli maczałem w czymś palce, miałem w tym jakkolwiek, choćby pięcioprocentowy, świadomy udział, ponoszę za to coś pełną odpowiedzialność, dla ułatwienia rachunku **równą** odpowiedzialności tych, których udział wynosił 95 procent. I że ponoszę odpowiedzialność także wtedy, kiedy nie wiedziałem, co czynię lub co się dzieje, ale mogłem i powinienem był to wiedzieć. Pomagało mi to w chwilach wątpliwości, ale i tak przez lata nabierał się bagaż mojej stuprocentowej odpowiedzialności za następstwa tych moich decyzji, które uznałem po fakcie za niesłuszne. Po drodze zostałem spoliczkowany przez oburzonego generała, a raz ktoś dźgnął mnie nożem. Rana była niegroźna.

Kontakty z moimi przełożonymi bywały czasem oświecające. Pewnego dnia komendant mojego szpitala, lekarz, zarządził odprawę załogi. Oznajmił, że następny dzień będzie wolny od pracy. Rano mamy włożyć cywilne ubrania i parami jeździć tramwajami. W czasie jazdy będziemy „urabiać opinię publiczną” – prowadzić głośne rozmowy popierające aktualne kontrowersyjne decyzje partii i rządu. Wybór osób stanowiących te pary został dokonany przez administrację szpitala; moim partnerem był ktoś nieco ode mnie starszy, kogo nie

znałem. Następnego dnia o umówionej godzinie wsiedliśmy do tramwaju, przejechaliśmy, nie odzywając się, kilka przystanków, po czym mój partner wskazał na drzwi tramwaju i wysiedliśmy. Weszliśmy do tramwaju jadącego z powrotem, zamieniliśmy kilka zdań nie dotyczących tego, co się działo, ale rozluźniających napięcie, i rozstaliśmy się w miejscu pierwotnego spotkania. Był to jeden z tych dni, w których się nagle dojrzewa. Myśląc o komendancie, zrozumiałem, że znaczenie biblijnego (Łk 23, 34) zdania „wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią” nie jest tak proste i oczywiste, jak mi się do tego wydawało. Myśląc o sobie samym, doznałem męcącego mi w głowie uczucia, znanego mi od dzieciństwa, od dnia kiedy zgubiłem się rodzicom na wycieczce.

Kiedy indziej zgłosiłem się do innego mojego przełożonego z osobistą prośbą. Po wysłuchaniu mnie wezwał „główną kadrową” i powiedział: „Pani Krysiu, siostra doktora Żmudzkiego, pediatryczka, przeniósł się do Warszawy i chciałaby pracować w naszej przychodni”. Pani Krysia oświadczyła: „Panie pułkowniku tego się w ogóle nie da załatwić”. On na to odpowiedział: „Sam to dobrze wiem, lepiej niż pani, a robienie takich uwag do pani nie należy. Wezwałem dzisiaj panią, a nie kogo innego, bo my mamy tutaj panią po to, żeby pani od czasu do czasu załatwiała sprawy, które są nie do załatwienia. Tutaj są papiery doktora Żmudzkiej. To wszystko, dziękuję. Proszę mi meldować o rezultatach”. Moja siostra została najbliższego pierwszego przyjęta do pracy w przychodni i pracowała tam sumiennie przez wiele lat.

Kiedyś do mojego gabinetu wszedł mój starszy kolega, neurolog, i powiadomił mnie, że na żądanie zwierzchnika będzie przyglądać się mojej pracy. Usiadł w kącie i nie odezwał się więcej ani słowem. Nie zaprotestowałem ani nie zadałem mu żadnego pytania. Jego kilkunastominutowa obecność przy mnie była komuś do czegoś potrzebna, a ja wiedziałem, co się dzieje: był to drugi dzień badań osób powołanych niespodziewanie do wojska w oparciu o nieznane nam bliżej nowe przepisy. Badanymi byli studenci zwolnieni z obowiązku odbywania służby wojskowej na czas studiów wyższych. Zostali oni w jakiś sposób wyselekcjonowani: wielu z nich okazało się osobami „pochodzenia żydowskiego”. Dowiedziałem się tego od nich samych: protestowali, jeden po drugim. Miało to miejsce w krótkim okresie przygotowań do wkroczenia do „zbuntowanej” politycznie Czechosłowacji. Następnego dnia kolega neurolog już się nie pojawił. Nikt nigdy się do mnie na ten temat nie odezwał.

Bywało też odwrotnie: członek komisji wojskowo-lekarskiej, którego trochę znałem, zaprosił mnie na rozmowę i zrobił mi długi wykład. Powiedział: „Chciałem, żeby pan wiedział, że my wiemy, że pan czasem naciąga niektóre swoje orzeczenia tak, żeby ich wyniki były zgodne z osobistymi potrzebami badanych, a nie z wymogami służby. Nie mamy się do czego przyczepiać, bo są staranne opracowane i dobrze udokumentowane, ale

proszę pamiętać, że to my ponosimy odpowiedzialność za pana orzeczenia, a nie pan”. Nie poprzestał nam tym, lecz dodał coś, co mnie zdumiało: „Również i nam zdarza się, bardzo rzadko, nagiąć orzeczenie, kiedy uważamy, że jest to nasz bezwzględny obowiązek. Zobowiązują nas do takiego wyjątku niepisane zasady: nasze ludzkie poczucie uczciwości, a i to tylko wtedy, kiedy jesteśmy w tej kwestii jednomyślni; poczucie absolutnej konieczności zapobieżenia oczywiście, niepotrzebnemu i nieodwracalnemu szkodzeniu pacjentowi naszym orzeczeniem (wybieramy mniejsze zło), oraz siła wyższa: raz zdarzyło się nam nagiąć orzeczenie na żądanie osoby, od której zależy dobro naszego szpitala. To wszystko. Co jest ważne, **nigdy nie robimy niczego z dobrego serca**. Niech się pan wystrzeżga dobroczynności: wszystko to, co pan tutaj codziennie robi, robi pan dlatego i tylko dlatego, że to należy do pana obowiązków. Tak pracując, będzie pan w zgodzie z samym sobą i będzie pan mógł w nocy spać spokojnie. Ma pan dobrą i spokojną pracę, przynoszącą panu chleb z masłem, szynką i chrzanem. Wielu może panu pozazdrościć. Jest to oczywiście przydatna rozmowa. Życzę panu, żeby pan nie miał kłopotów”. Kłopotów nie miałem, spokojnie nie spałem.

Na wykonywanie przeze mnie mojego zawodu, a nawet na moje życie osobiste, wpłynął głęboko fakt, że musiałem i zdołałem nauczyć się rozmawiać ze swoimi pacjentami na tematy polityczne, podobnie jak nauczyłem się rozmawiać z nimi o ich życiu seksualnym. Pomińcie któreś z tych spraw byłoby „błędem sztuki lekarskiej”, ale szczerze rozmowy o poglądach politycznych, o sytuacji politycznej kraju, o jej wpływie na ich życie i życie rodziny były czasem dla pacjentów zaskoczeniem, powodem do niepokoju lub podejrzeń. Na dłuższą metę rozmowy takie stawały się jednak często podstawą otwartości, zaufania, więzi, a nawet poczucia odpowiedzialności za wzajemne bezpieczeństwo.

Zdarzało mi się, że pacjenci, którym coś mówiłem, usłyszeli nie to, co myślałem, że im powiedziałem. Dopiero przykre doświadczenia nauczyły mnie, że ważne jest to, co ludzie słyszą, nie to, co się do nich mówi. Jednakże słowa mówione wprost do kogoś są najłatwiej zrozumiałym sposobem przekazywania istotnych informacji. Któregoś dnia pacjent (ironia losu sprawiła, że był to oficer polityczny, załamany psychicznie niemożnością pogodzenia sumienia z obowiązkami) skorygował mnie w czasie rozmowy o polityce: „Współpraca? Niezależność? Po co używa pan takich słów w niepodsluchiwanej rozmowie? Nic takiego nie ma. To jest po prostu współczesna wersja kolejnej rosyjskiej okupacji”.

Przyniosłem kiedyś do swojego gabinetu i postawiłem na parapecie statuetkę marszałka Piłsudskiego, której ojciec chciał się pozbyć, bo mu zawadzała w mieszkaniu, ale jej „przecież nie mógł wyrzucić”. Jeden z lekarzy instytutu wszedł i po kilku zdawkowych zdaniach powiedział: „Przyszedłem, bo usłyszałem od kogoś, że ma

pan w gabinecie rzeźbę ›Dziadka‹. Kiedy pan czasem patrzy na niego, co pan widzi? Polskę? Czy dyktatora? Jak dyktatora, to niech pan lepiej ›Dziadka‹ stąd dla świętego spokoju zabierze. Jak Polskę, to zapraszamy dzisiaj do mojego gabinetu po pracę na wódkę”.

Rozmawiałem raz przez telefon ze znajomym dziennikarzem, który widać czuł się bezpiecznie, bo lubił prowokować dyskusje na aktualne drażliwe tematy polityczne. Kiedy zakończyliśmy rozmowę, nieoczekiwanie ktoś w słuchawce powiedział: „Na litość boską, panie doktorze, co pan wyrabia, taka rozmowa przez telefon! Przypuszczam za śmiałość, ale doradzam, żeby się pan stuknęła w głowę”. Odpowiedziałem natychmiast: „A co z pana głową, panu to niby nic nie grozi?”, ale po drugiej stronie przewodu już nikogo nie było.

Po maturze ojciec mi powiedział: „Rób co chcesz, ale nie wolno ci zapisać się do czegoś, gdzie się nosi broń, musisz zaraz iść na studia. Nie masz żadnych talentów, jesteś leniwy, więc najlepiej żebyś został lekarzem”. Pierwszego zalecenia nie posłuchałem – w wyklętych czasach spędziłem wiele lat na zapleczu Zbrojnego Ramienia Partii, niezdarnie wybierając między dobrem i złem. Nie tylko miałem pistolet służbowy, dostałem także mały rewolwer „do osobistego użytku” z wygrawerowaną frazą „Za wierną służbę”.

Rodzice usiłowali przygotować mnie do takiego życia, jakie sami mieli, chcieli mnie wychować na „porządnego człowieka”. Jak wielu innych nie wiem, czy mi się to udało. Postęp, nauka i historia sprawiły wprawdzie, że dowiedzieliśmy się wiele nowego o tym, kim i jacy jesteśmy, ale to, co najgorsze, wiadomo było już od dawna – dwa tysiące lat temu ułożyliśmy słowa modlitwy „Ojcze nasz”, wyraźnie mówiącej, że **nigdy sobie sami ze sobą nie poradzimy**: „...daj nam chleba, odpuść nam grzechy, nie wódz nas na pokuszenie, zbaw nas ode złego.” Stale liczyliśmy na Pana Boga, który nigdy nie zamierzał zajmować się naszymi sprawami, choć księża stanowczo temu zaprzeczają. Niestety musimy wszystko sami robić (od razu, starannie, do końca) i sprzątać po sobie, ale bardzo źle nam to wychodzi.